Rozmaitości

Dnia 18. Listopada **Nr 46.** 1837 Roku.

ODPOWIEDŹ
WINCENTEGO KOPYSTYŃSKIEGO
FRAŃCISZKOWI MROZOWICKIEMU
na list wzywający do drukowania siedmiu trajedyj wierszem z Rasyna tłumaczonych.

Czy na Podgórskim przodków zagonie,
Czy w oddaleniu, tu w Windobonie,
Słowem: czy w domu czyli w podróży,
Twój Pegaz zawsze wiernie Ci służy.
Odezwa Twoja wylana rymem
Gładkim i godnym słusznéj zalety,
Przejdzie w czas poźny, nie zniknie z dymem.
Lecz chociaż wielbię talent poety,
Daruj: że Twojéj nie spełnię rady;
Zachęcasz, abym moje przekłady,
W zanadrzu ciemném dłużéj nie nosił,
Abym je światu drukiem ogłosił.
Franciszku! jażbym miał się zuchwale
Ważyć z Rasynem na równą szalę?
Nie byłażbyto podobna scena
Jak z owéj żaby u Lafontena?
Kiedym przed laty, na owém błoniu,
Które Łomnica i Dniestr przerzyna,
Przy roli, w skromném, wiejskiém ustroniu,
Rozrywki szukał w dziełach Rasyna,
Nie czując w sobie do rymów daru,
Nigdym takiego nie miał zamiaru,
Aby przeze mnie wieszcz z nad Sekwany
Miał być po polsku kiedyś ubrany.
Lecz człowiek sobą nie zawsze włada,
Raz mimowolnie wiérsz mi się składa,
Daléj i drugi, jest wiérszów para;
Nuż daléj... Uczy przypowieść stara:
Że tylko składaj ziarko do ziarka,
Z ziarek powoli urośnie miarka.
Tak z drobnych części wzniosła się całość.
Lecz gdzież mistrzowska ta doskonałość?
Ta płynność, gładkość, ta czystość stylu?
Która na wieki, pomimo tylu
Przemian i w guście i w duchu czasu,
Będzie szczególną chlubą Parnasu.
I jakże obok dzieł takiéj chwały
Przekłady moje stanąćby miały?
Dosyć jest dla nich, dosyć téj sławy,
Że czy z grzeczności, czy dla zabawy,
Przyjaciel, sąsiad o nie zapyta,
Czasem je słyszy, czasem i czyta.
Tak więc pomimo Twych uwag wielu,
Pomimo rady Twéj Przyjacielu,
Nie wyjdą one nigdy z ukrycia,
Nigdy... przynajmniéj za mego życia.

W Wiedniu 12. października 1837.

JEDEN
DZIEŃ DEPUTOWANEGO.

Pewnie, iż nié ma nic piękniejszego, jak zastępować kraj w izbie deputowanych; ale wszystkie zaszczyty mają swoje nieprzyjemności, a te, które są połączone z zastępowaniem narodu, są bardzo często ważne i wielkiéj odpowiedzialności. Deputowany prowincyi jest już przez swoje pełnomocnictwo na mnóstwo kłopotów wystawionym. Mieszkańcy jego prowincyi uważają go jako ajenta, mającego im służyć za pośrednika, który im dać ma pomoc w każdym wypadku, używają go bez skrupułu i bez oszczędzenia na mocy swego wyborowego prawa. Jako ofiara tego bezwzględnego nadużycia, deputowany sam od siebie nie zależy: dzień jego cały jest zajętym odwidzinami, prośbami i zleceniami wszelkiego rodzaju, któremi jest zarzucony, a które częstokroć, będąc same z sobą w największéj sprzeczności, zabiérają mu czas nadaremnie. Kłopoty deputowanego zaczynają się z jego ocknieniem. Skoro się obudzi, przegląda dzienniki poranne, radzi się politycznego barometru i szuka troskliwie czyli imię jego nie zaplątało się między dwa szydercze dowcipy

dziennika *Corsaire* lub *Charavari*, i azali przez nie nie jest ukrzyżowane. Wkrótce nadciągają koleją odwidzający, a każdy ma prośbę jakąś; jedni proszą za sobą, drudzy za prowincyją.

»A nasz most?« mówi jeden, »przyrzekłeś nam most, a dotąd jeszcze nań czekamy. Jeszcze ulegamy prawu przewozowemu, jak w średnim wieku, jeszcześmy od promu zawiśli. Rząd bardzo nas lekce waży, kiedy nie chce zezwolić na koszta byle jakiego mostu. Z resztą gmina nie jest od tego, aby się cokolwiek nie przyłożyła, obwód zaś może znaczną dać kwotę. Przywiedź wćpan tę rzecz raz już do skutku, wszak ona wćpana tyle co i nas obchodzi. Przy każdych wyborach głosujemy za kandydatem, każdy nam most obiecuje, a gdy czas deputowanemu wyjdzie, mostu jak nié ma, tak nié ma, a my głosujemy za innym. To trwa już lat dwadzieścia, a my jesteśmy gotowi nie poprzestać aż pokąd most nie stanie. Izba ma być, jak powiadają, rozwiązaną; tém łepiéj, to szczęście dla nas. Weźto sobie wćpan do serca i pamiętaj o tém: my będziem tylko za waćpanem głosować, jeżeli na wybory przez most iść będziem, jeżeli zaś na promie nam przewozić się przyjdzie, wtedy nie zaręczamy, abyśmy za wćpana współzawodnikiem nie głosowali. A że do postawienia mostu nie mało czasu trzeba, więc będziem tymczasem zadowoleni rozporządzeniem rządowém, które nam przyszłą budowę zapewni. Proszę więc nie stanąć przed nami inaczéj, jak tylko z *Monitorem* w ręku.«

»Mój panie,« mówi inny poseł prowincyi, »Francyja ma być uposażoną dwiema kolejami żelaznemi; jedna z tych będzie się z Paryża do Marsylii ciągnąć, my żądamy przeto, ażeby szła przez nasze miasto. Od wćpana gorliwego wstawienia się zależy, ażeby nas rząd w spisie umieścił, i ażeby nie potwierdził innego planu, tylko ten, który i nasze miasto obejmie.« — »Lecz to miasto, ile mi wiadomo, podobnoś na górze leży.« — »Zapewne; lecz cóż ztąd? Czyliż przemysł gór nie równa? A czémże byłaby sztuka i umiejętność, gdyby się dała zastraszyć tak lichą przeszkodą.« — »Ta okoliczność jeszcze trudniejsza do zwyciężenia, że kolej żelazna musiałaby wiele mil kołować, ażby do waszego miasta w odwidziny przyjść mogła; jesteście całkiem na uboczu. Gościniec teraźniejszy, za którym prawie równolegle pójść ma kolej żelazna w naszym departamencie, ciągnie się, jak mi się zdaje, o mil pietnaście od was.« — »To prawda, że prefektura B. przez szczególny wzgląd, otrzymała piérwszeństwo na gościniec; lecz każdemu, co mu się należy; teraz na nas kolej przyszła. Z resztą, miasto nasze zasługuje na to, ażeby sobie zadać trud nałożenia mil pietnastu. To jest miasto zajmujące z wielu względów. Odkryto w nim właśnie grób rzymski, który zachwyca wszystkich badaczów starożytności. W potrzebie odkryje się ich i więcéj. Widzisz tedy wćpan, że nauki i sztuki za naszą sprawą mówią. My się spuszczamy na wćpana. Nareszcie dobrze jest, żebyś wćpan wiedział, iż na przyszłe wybory masz współubiegającego się, który nam uroczyście przyrzekł kolej żelazną.«

Po tych panach, którzy z taką gorliwością mówili o sprawach miejscowych, dama się jakaś przedstawia; jest ubraną wykwintnie, wyraz smętności jest rozlany po jéj twarzy; siada wzdychając, i powodzi około siebie mdlejącym wzrokiem; wykłada przedmiot swych odwidzin następującym sposobem:

»Widzisz wćpan przed sobą nieszczęśliwą kobietę. Niestety! dramy i romanse aż nadto sprawiedliwie w smutnych kolorach wystawiają niewiastę. Nasze życie składa się ze wzdychań i łez. Balzac zna nas bardzo dobrze! O, ja też go w sercu mojém noszę! Jednak proszę pana nie myśléć, że mam lat trzydzieści. Będę dopiéro miéć 12go p. m. lat dwadzieścia i dwa. Lecz niestety! każdy wiek ma swoje troski! U kobiét zamężnych nieszczęście lat nie czeka. Mam rodziców bogatych, lecz uprzedzonych. Poświęcili mię. Młodą i bez doświadczenia rzucono mię w objęcie człowieka już podeszłego wieku. Ja pragnęłam duszy zdolnéj do uczuć odpowiednych mojéj, lecz niestety! mąż mój był o lat 20 za stary, aby mię mógł zrozumiéć!... Wybacz memu wzruszeniu, jeżeli łza zrosi lice moje. Ofiara małżeństwa nie wymagam emancypacyi kobiét. Ach! niech mię Bóg zachowa od téj niedorzeczności! Jestem za nadto niewiastą na takie dziwaczne wymaganie. Wiém o tém dobrze, iż nasza płeć delikatna, nie jest stworzoną na to, aby za-

ciągała na straże, i rządziła krajem. Ja nie żądam zaszczytów, tylko szczęścia i dobra niewiast, tych istot anielskich! Żądam schronienia, żądam portu, w którymby, burzami małżeńskich związków skołatane statki nasze, zabezpieczonémi być mogły. Tym opiekuńczym portem jest rozwód. Rozwód jest gwarancyją, małżeństwo zaś okropném więzieniem bez końca! Podałam w tym względzie prośbę do izby deputowanych, spodziéwam się, mój panie, że ją zechcesz wesprzéć swoją piękną, złotoustą wymową, swoim energicznym wpływem na współkolegów, albo przynajmniéj swoją gałką.«

Deputowany strzeże się wdawać w rozmowę, któréjby końca nie było, i przyrzeka wszystko. Nieszczęśliwa kobiéta dziękuje mu z najżywszém uniesieniem, i wychodzi mówiąc: »Zwidzę wszystkich deputowanych osobiście; już od ośmiu dni robię wizyty, a jeszcze mi zostaje sto dziewięćdziesiąt i sześć reprezentantów; lecz z odwagą i fiakrem i tę trudność podołam. Najobowiązańsza pana mego.« — Rozdział próśb jest jeden z tych, które najwięcéj kłopotu deputowanemu czynią, i wystawiają go na prawdziwe oblężenie. Wszyscy ci, którzy co sobotę żądają od izby ustaw, pensyj, wynagrodzeń, przywilejów, przychodzą wprzódy do niego osobiście lub się udają przez pełnomocnika, biorą deputowanego na stronę, i żądają jego głosu lub wstawienia się.

Lecz wróćmy do tak zwanych solicytantów departamentowych; ci, jako wyborcy, pełni zaufania w swoje prawa i względy, są najliczniéjsi i najczynniéjsi. Zaledwie dama rozwodowa wyszła, aż tu nasz deputowany widzi wchodzącego do swego pokoju jednego ze znaczniejszych miasta, które zastępuje.

»A dopókiżto,« woła tenże, »będę czekał na mój krzyż honorowy? Mogę nie chełpiąc się, rzec śmiało, iż jestem jedną z najważniejszych osób naszego departamentu, a nié mam jeszcze krzyża. To rzecz śmieszna i wystawia mię na wszelkie rodzaje zmartwień. Nie dawno na przykład byłem u *mera* na wieczerzy, było nas czterech przy kartach, a ja tylko jeden bez orderu. Przegrałem w przeciągu 16 minut wszystko, co miałem przy sobie; nie jestem zabobonnym, ażebym to nieszczęście miał przypisywać czerwonéj wstążeczce; lecz widząc moich trzech współgraczów, ozdobionych krzyżami, a siebie tylko bez żadnego odznaczenia, zgryzłem się mimowolnie, straciłem moję uwagę i oziębłość zwyczajną. Miałem w zysk dwadzieścia, a zostałem w szkodzie z dziesięciu, przegrałem partyję. Ta strata do ludzi z orderami, mocno mię rozgniewała. Nie jestżeto rzecz osobliwa, żeby człowiek mojego stanu, człowiek posiadający dwieście pięćdziesiąt morgów lasu, nie miał krzyża honorowego? Może jestem w całéj Francyi jeden tylko, który posiadając 250 morgów lasu, nié ma krzyża jeszcze! Czyliż posiadanie własności nie jest podstawą tronu i źródłem dochodów. Pytasz mię o moje zasługi? Moje zasługi są lasy. A potém, jestem i byłem zawsze otwarcie za rządem... Czyż potrzeba więcéj do otrzymania krzyża?«

Ludzie, mówiący za swoją prywatną sprawą, zwykle są gadatliwi i rozwlekli; deputowany wié dobrze, iż najmniejszy zarzut lub przeciwienie się, sprowadziłoby nowy potok słów. Słucha więc w milczeniu, potwierdza skinieniem głowy, a gdy mowa się kończy, przyrzeka, że będzie czynnie starać się o krzyż dla swego wyborcy, który pełen nadziei ozdobienia dziurki od guzika swojéj sukni, po wielu przyzwoitych ukłonach wychodzi.

Ledwie deputowany co usiąść zamyślał, już nowy solicytant zjawia się we drzwiach, który już nie żąda orderu, ale rozrywek:

»Szanowny reprezentancie, przybyliśmy do Paryża na uroczystość narodową, a w tych okolicznościach polegam na panu, tak, jak pan na mnie w czasie wyborów śmiało polegać możesz. Mam ze sobą moję żonę i moje trzy córki, które chcą się koniecznie pokazać na balach dworskich; pan wiesz, jak kobiéty są ciekawe i łakną zabaw, co jest bardzo naturalna! Sąto zaiste biédne stworzenia! muszą znosić nudy gospodarstwa, kłopoty kuchenne! Słuszna tedy jest, aby im czasem sprawić jaką rozrywkę. Mam także z sobą i mojego chłopczynę, Anatolka; ma lat 13, zadziwiający jest na swoje lata; odebrał trzy eminencyje zeszłego roku w szkołach nauki wzajemnéj, układam sobie, w tych dniach przyjść do pana, abym z nim pomówił o stypendyjum, które będzie ci łatwo otrzymać dla mego Anatolka w którém-

kolwiek gimnazyjum paryzkiém. Dla tego też przywiozłem to dziecko z sobą. Będziesz wćpan kontent z niego; głowa, wielka głowa powiadam wćpanu, nie długo potrwa, a zobaczysz, jak się odznaczy! Spodziéwam się umieścić go z czasem w wyższéj administracyi, chętniebym go chciał zaznajomić z wielkim światem; życzę więc sobie, żeby był zapisany na karcie zapraszającéj, o którą się dla nas postarasz. Anatolek jest z resztą dobrze wychowanym, walny chłopczyna; nie jest on jedno z tych dzieci, które rabują łakocie i do półmisków się cisną; ja mu naprzód oznaczam ilość ciasteczek i lodów, które może sobie wziąć, a zobaczysz wćpan, jak się sprawi przyzwoicie. Otóż prosiłbym wćpana, mości deputowany, abyś raczył wyrobić kartę zapraszającą dla całéj naszéj rodziny, to jest: kartę na bal ratuszny, na bal gwardyi narodowéj i na bal w Tuileryjach. Pan wiész, iż mamy edukacyję i jesteśmy usposobieni pokazać się wszędzie i przyzwoicie. Moja żona wzięła z sobą swój garnitur z krwawników, niebieski turban w smaku Jusuf-baszy, i tę pomarańczową atłasową suknię, którą miała na ostatnim balu u prefekta. Co się tyczé moich córek, mogę rzeć śmiało, iż to są panienki, które nie zeszpecą żadnego towarzystwa. One posiadają wdzięki właściwe ich wiekowi, a ich sukienki z gładkiej krepy leżą na nich tak ulane, jakby na ręce rękawiczka. Nie wątpię, iż zciągną na siebie oczy wszystkich, i uczynią zaszczyt naszéj prowincyi. A kto wié, czyli który z dworskich nie zachwyci się niemi? Widziano panów dworskich żeniących się z przywiązania, a moje córki mają dość wdzięków, ażeby się do nich przywiązać; ony mogą i wyższym stanom głowę zawrócić. Racżże tedy...«

Zaproszenia na bale dworskie są trudniejsze do otrzymania, niż order legii honorowéj; jednak deputowany nie odmawia zupełnie, i przyrzeka uczynić potrzebne kroki do osiągnienia téj łaski.

Teraz dają mu znać, iż śniadanie zastawione; deputowany idzie do pokoju jadalnego, dokąd mu cztérech solicytantów towarzyszy; dwóch z nich siada bez wszelkiéj ceremonii do stołu, i bierze się do widelców. Godzina ta jest jedyna, w któréj deputowany czyta korespondencyje. Zastaje kilka listów na serwecie, te mają stempel jego departamentu; otwiéra, który mu wpadł w rękę; piérwszy jest od biblijotekarza ze stołecznego miasta jego prowincyi, i zawiéra co następuje:

»Mości deputowany! Biblijoteka miasta naszego jest w stanie opłakanym. Prawdziwa ruina i mizeryja! Mieliśmy zbiór *Monitora*, który nasz prefekt, ten barbarzyniec, niemiłosiernie pokaleczył; potargał pasmo najważniejszych do historyi dokumentów, jakoto: adresy i powinszowania. Mieliśmy kilka ksiąg naukowych, któreśmy przez wzgląd, że uczeni bez książek nic napisać nie mogą, wypożyczyli niektórym uczonym, ale roztargnionym mężom, a które oddanémi nie zostały. Mieliśmy nie zły zasób romansów, które kucharka ostatniego biblijotekarza do różnych konfektów zużyła. W tak smutnych okolicznościach udajemy się do pana, jako opiekuna departamentu, ażalibyś nie mógł sprawić, abyśmy choć niektóre z tych dzieł otrzymali, które ministeryjum zawsze prenumeruje, i, jak mówią, z wielką rozdaje hojnością.«

Dwa inne listy, otworzone z kolei, wprawiają deputowanego w niemały kłopot.

Piérwszy mówi: »Zbliża się kolej, po żelaznéj kolei, rozprawiania w izbie deputowanych o ustawie na sól. Projekt przez komisyję podany, jest bardzo korzystnym dla naszego departamentu. Spodziéwamy się, że go wćpan wesprzesz z mownicy, jak tylko można najlepiej.« — Drugi: »Zbliża się kolej rozprawiania w izbie deputowanych o ustawie na sól. Projekt podany przez komisyję, jest bardzo szkodliwym interesom naszego departamentu. Spodziéwamy się, że go zbijesz wymownémi dowody.«

Jeszcze ostatni list do czytania pozostaje. »Może też mnie ten wyrwie z kłopotu,« mówi do siebie deputowany; lecz w tym ostatnim liście nié ma już mowy o soli; w tym ostatnim liście stoi, co następuje:

»O czém też wćpan myślisz, kochany i szanowny deputowany? Z wielką niecierpliwością oczekuję paki z modami, którąś mi miał przesłać jeszcze 15go, a już mamy 18go, a ja nadaremnie wyglądam. Jam nie była tak niedbałą i obojętną, gdy chodziło o wybór wćpana na deputowanego i uzbiéranie głosów dla niego. Wszak tu chodzi i o rzecż wćpana, gdyż jeżeli mam jaki wpływ w naszém mieście,

winnam to mojemu smakowi w stroju. Dosyć będzie, gdy mu doniosę, że pani J*, która jak mu wiadomo wspiéra zabiegi kandydata opozycyi, a rywala wćpana, zgasiła mię na ostatnim wieczorze u poborcy jeneralnego, swoim przepysznym ubiorem. Liczba jéj wielbicieli wzrosła moim kosztem. Miała w najnowszy sposób zrobioną sznurówkę na sobie, która jéj figurę bardzo korzystną zrobiła, i która panu w następnych wyborach wiele głosów odjąć może. Ona jest zalotną, a mężczyźni dają się łatwo ująć pozorem! Rozważ to wćpan! Przyszlij spiesznie sznurówkę. Ostatnie *Kanezu*, któreś mi przysłał, nie dość się wznosi. Pani J* miała branselety z kameami. Czy noszą kamey? Mam niektóre, dałabym je oprawić. Jenerał daje bal od poniedziałku za tydzień, jeźli moja paka ze strojami na ten dzień nie przyjdzie, będę zgubioną!! Pisz mi, jak wysoko noszą falbany, i jaki najlepszy krój rękawów. Ja mniemam, że *Gigoty* całkiem wyszły z mody; lecz jaki jest prawy środek między opiętemi a obwisłémi rękawami? Pisz mi, jakie kwiaty są w najlepszym smaku we włosy? i jakim dają pierwszeństwo kobiéty, które mają włosy mojego koloru? posyłam ci loczek moich włosów, na przypadek, jeżelibyś sobie nie przypominał dobrze jak się one cienią. Urwiesz sześćdziesiąt franków z rachunku szwaczki, gdyż jest przesadzony. Prześlę ci w przyszłym tygodniu przez pana M., który wyjeżdza we czwartek do stolicy, rękawiczkę i trzewik. Przyszlesz mi dwanaście par rękawiczek, sześć par białych, a sześć par w różnych kolorach; cztery par trzewików, a dwie bócików. Spuszczam się na twoję akuratność, napraw swoje niedbalstwo i wykonaj moje zlecenia z gorliwością, jaką się dobry deputowany wyszczególniać powinien.«

Deputowany, przeczytawszy ten list milutki, chcąc uniknąć nowych natręctw, wymyka się ukradkiem z domu, i chce się udać na posiedzenie; lecz orszak solicytantow czeka go na przechodzie, dogania pod cieniem drzew w Tuileryjach i zabiega mu drogę na placu *Concorde*. Przybywszy do pałacu Burbonów, wpada między dwie opinije, jakby między dwa ognie, które męczą go o jego *votum. Doktryna* ciągnie go w prawo, *Thiers parti* w lewo, a każdy szarpie do siebie. Posiedzenie się rozpoczyna, nowe kłopoty się wszczynają: najpierwéj mowa pana V., potém mowa p. D. Nasz deputowany ma szczęście zasnąć; wykrzyknienie p. M. budzi go nagle. Jest zaproszony na obiad w mieście, lecz mowa pana T. przeciąga nieskończenie posiedzenie. Nakoniec wolno mu wyjść i siąść do stołu, lecz i przy obiedzie musi utrzymywać minę deputowanego. Idzie na operę, ukazuje się na chwilę w loży ministra, zaraz pięciu lub sześciu z jego prowincyi stają na czatach przed drzwiami loży, a skoro z niéj wyjdzie, nalegają na niego, aby ich przedstawił Jego Exelencyi.

Dla deputowanego nié ma schronienia, nié ma miejsca, któreby mogło go ukryć przed atakiem solicytantów z jego prowincyi. Jeżeli nawet wraca do siebie już koło północy, jeszcze znajdzie jakiego śmiałego, który go w przedpokoju oczekuje; o północy ma równie tyleż listów do czytania co i w południe; listów pełnych próśb i poleceń, które nowe odwiedziny i nazajutrz mu zwiastują. W nocy marzy o wyborcach, o zapraszających na bal biletach, o biblijotece, o *Kanezu*, o ustawach na sól, krzyżach honorowych, o mostach wiszących; głosy nalegających brzęczą mu w uszach, kolej żelazna idzie mu przez czoło, a cały jego departament siada mu na piersiach, aby go, jak zmora dusił; a gdy się nakoniec z tego ciężkiego snu ocknie, to tylko na to, ażeby na nowo zaczął dzień wczorajszy. *Z. W.*

(Z Revue Fr.)

WSPOMNIENIE

O FRANCISZKU KARPIŃSKIM.

Z Pamiętników J. J. Kraszewskiego.

Nié mam ja przyczyn płakac tego świata,
Znam, jak go wszędzie zszywa igła marna!
Wszędzie skorupa, wszędzie wierzchnia szata,
Nigdzie, ach nigdzie szczeréj duszy ziarna!

Naiwny ten poeta mieszkał w kolonii Kraśniku, w powiecie prużańskim na Litwie, gdzie do dziś dnia skromny jego drewniany domek stoi niedaleko od drogi. Dwa ganki z daszkami, dwoje drzwi, żadnego okna od dziedzińca — oto powierzchowna jego postać; za nim gęsty las jodeł, w koło wytrzebione pola, ocienione lasem; las, las, i las wszędzie. Tu prosty ów poeta serca mieszkał długo; tu, razem ze swemi chłopkami, jak w »Pamiętnikach« wzmiankuje, wydzierał i

uprawiał rolę — i modlił się do Boga przy wschodzącém słońcu, na pobliskim wzgórku. Znali go dobrze wszyscy i szanowali. Ciągłe jego utyskiwania na niewdzięczność ludzi, których mu bezżenna starość dostarczała, nie ze wszystkiém były sprawiedliwe; lubił się skarżyć i ubolewać, lecz któż winien, że nie dostał ani biskupstwa, ani starostwa, ani pieniędzy, chociaż się delikatnie na to użala i przymawia? Za sielanki zapłacono sielanką; kawał prostéj ziemi, za kawał prostéj i prostodusznéj poezyi! Insze były nagrody Naruszewicza, bo jakże też inne poezyje! wiele *Od* do różnych osób w jednym tylko tomie!

Z wielu listów, autografów Karpińskiego, żaden nie okazuje iskry poetycznego talentu, dopiéro podpis zdumionemu oznajmia sławnego poetę: *Kochanka trzech Justyn.* O smutna dolo! umrzéć tak w kącie odludnym i przeżyć siebie, bo przy schyłku Karpiński nic już nie pisał i wiérszy swoich nie pamiętał nawet; talent jego wprzód uleciał, niż dusza.

P. Franciszek za życia był dość próżny, lubił pochwały, kadzidło, poważanie i dowody uwielbienia odbiérać; lubił w obec ludzi bogatych i znaczących ze swoją arystokracyją talentu się pokazać; czuć też umiał żywo każdą najmniejszą grzeczność, w któréj znać było uwielbienie dzieł jego. Nié miał on wysokiego, wszechstronnego i silnego talentu; lecz prosty, naiwny, szczéry, często energiczny mocą prostoty swojéj, pisał tak jak większa część prostego ludu myśli, śpiéwa i mówi: nic nie ceniąc swoich myśli i śpiéwów. Z oryginalnych poezyj te są najmocniejsze, które są egotyczne, to jest, opiérające się na uczuciu własném, wewnętrzném, nie na obserwacyi i wcieleniu się w drugą osobę. Tak powszechnie chwalony *Powrót do domu*, jest najsamolubniejszą i najpiękniejszą z jego elegij; kto wié, czy nie z dzieł wszystkich. Zupełnie zfałszowany smak 18go wieku umiał jednak tę piękność prostą — ocenić sercem.

Dla ciekawych muszę tu dołączyć jenealogiją Karpińskiego, którą własnoręcznie zapisaną znalazłem w księdze szlacheckich imion powiatu prużańskiego, z roku 1798 stycznia 12go dnia.

»Pradziad Piotr Karpiński, który podpisał się na elekcyi Augusta II. z ziemi Nurskiéj; prababka Teresa Zielińska; dziad Krzysztof Mikołaj; babka Maryjanna Winnicka; ojciec Jędrzej Karpiński; matka Rozalija Spendowska; Franciszek, syn Jędrzeja Karpińskiego, ma lat 54 (r. 1798), bezżenny. Dom Karpińskich pieczętuje się herbem Korabiem, czyli Łodzią, z masztem bez żaglów; Korab żółty w polu czerwoném, z masztem szarym, jako się przyłącza wyobrażenie (tego brak); (Franciszek) ma posessyją prawem emfiteutyczném, na lat 50 od najj. Stanisława Augusta w r. 1791 sobie nadaną, Kraśnik nazwaną, w powiecie prużańskim leżącą, któréj przywilej składa się. Takowa kolonija, podług ostatniéj rewizyi, ma dusz męzkich 21, żeńskich zaś 18. Żyje w powiecie prużańskim, folwarku swoim Kraśnik, rangi nié ma żadnéj. Takową procedencyją domu mego ręką własną podpisuję. Franciszek Karpiński.«

Myli się Karpiński, herb Korab z Łodzią mieszając; w istocie pieczętował się piérwszym, a jego rodzinę z Nurskiéj ziemi pochodzącą, wspominają jenealogowie, iż wydała kilku sławnych wojowników, mianowicie Szymona z Karpina Korabczyka, który był pod Cecorą i w wielu innych bitwach tego czasu:

Grób naszego Karpińskiego jest w Łyskowie, nie daleko od majątku Chorochowszczyzny, kupionego przezeń w ostatnich leciech. Kształt nagrobku jest najniezgrabniejszy, wcale niesmaczny. Napis na nim, jaki sam obrał, z piérwszego wiérsza owéj elegij.

»Otoż mój dom ubogi.«

Lecz koło Kraśnika, w małym lasku, są piękne mogiłki, na których przyzwoiciéjby było spać sielaniście, niż pod murem Łyskowskiego kościoła; tam, w tym kątku, prostym kamiennym płotem opasanym, tam było jego miejsce na ziemi, którą oblał potem swoim, rękami uprawiał, pieśniami unieśmiertelnił. Tam, gdzie jeszcze wytarte dwa wiérsze nad bramką przypominają poetę uczuć cichych, smutnych, spokojnych a łzawych:

»Trzeba było odpocząć utrudzonym w biegu;
I my tu nie na zawsze, tylko na noclegu.«

Nie sądźmy go — i żegnając Kraśnik powiedźmy: pokój prostéj duszy jego. Bo i on był z wielkiéj liczby ludzi, którym świat z uścisku swego zostawił kolce w piersiach i marszczki na czole. (*T. P.*)

EUSTACHI CHOIŃSKI.

Dnia 31. marca 1836 r. umarł w Wiédniu rodak nasz, młody pełen talentu malarz Eustachi Choiński, uczeń c. k. akademii sztuk pięknych. Zakrótko żył, zawcześnie odkwitnął! albowiem kto go i malowidła jego znał, wié cośmy w nim stracili i czegośmy po jego gorliwéj pilności i zdolnościach jeszcze słusznie spodziewać się mogli, gdyż wszystkie jego malowidła miały piętno lekkiéj ręki i śmiałéj mocy wyrazu, a jego portrety odznaczały się największém podobieństwem, prawdą rysunku i kolorytu. Odsyłamy znawców do jego trojga malowideł, które krótko przed swoją śmiercią był ukończył, a które były na wystawie sztuk pięknych w Wiédniu w r. 1836 u Stéj Anny. Także w kopijowaniu starych obrazów nie miał ten doskonały mistrz (nawet (podług świadectwa pana Kraffta, dyrektora c. k. galeryi) podobnego sobie w Wiedniu. Jasnym dowodem tego jest przewyborna jego kopija z Titiana, którą książę Paweł Esterhazy kupił do swego zbioru malowideł.

Urodził się Choiński w Wiédniu d. 23. grudnia 1814 r., ojciec jego, Marcin Choiński, pokojowy księcia Franciszka Sapiehy, wkrótce potém odbywał z nim długie podróże po całéj Polszcze, Niemczech, Anglii i Francyi, gdzie w Paryżu mógł dać piérwsze wykształcenie swemu synowi, którego talent już tam od nauczycieli uznany był za wiele obiecujący. Później rodzina Choińskich wróciła znown do Wiédnia, gdzie młody Eustachi wyłącznie poświęcił się malarstwu i w krótkim czasie, jakeśmy o tém wyżéj wzmiankowali, w c. k. akademii sztuk pięknych największe uczynił postępy. Od przyjaciół swych za życia lubiony, od kolegów sztuki szanowany, zasługuje zawcześnie zgasły młodzieniec ten bezsprzecznie na należny pomnik, który mu w tém króciuchném wspomnieniu wznosimy. Biblijoteka Ossolińskich posiada w swoim zbiorze malowideł, z daru swego kuratora naukowego, księcia Henryka Lubomirskiego, jeden obraz pędzla Choińskiego. Wyobraża on podróżnego z brodą, w szubie i czapce zimowéj, siedzącego za stołem, i po śniadaniu fajkę palącego. *S. P.*

— Ze Lwowa. —

W księgarni Jana Millikowskiego wyszło nakładem tegoż dzieło, pod tytułem: *Zasady sztuki położniczéj dla niewiast téjże sztuce się oddających;* przez Felixa Pfau, nauk wyzwolonych i filozofii doktora, chirurga i akuszera, ces. król. zwyczajnego profesora publicznego teoretycznéj i praktycznéj sztuki położniczéj, piérwszego akuszera w zakładzie położniczym szpitalu powszechnego, członka fakultetu filozoficznego i byłego dziekana w uniwers. lwow. Drukiem Breitkopfa i Hartela w Lipsku, wydanie ozdobne na pięknym papierze, w 8ce str. 280.

Wyszedł z druku *Tygodnik rolniczy i przemysłowy* przez Adama Kasperowskiego, Nr 1. i 2., i obejmuje: Nr 1. Wstęp. Rolnictwo. Chów zwierząt domowych. Gospodarstwo domowe i fabrykacyje. Ogrodnictwo. Wiadomości czasowe. — Nr 2. O systematach czyli układach polowych. O chowie koni. Wybór cieląt do chowu. Gips jako środek do tuczenia nierogacizny. Nauka dla każdéj gospodyni, któraby robić chciała cukier na swoję potrzeb. Drzewa owocowe uchronić od mrozu. Jarmark tegoroczny na wełnę we Wrocławiu. Chmiel angielski albo amerykański. Osobliwsze gęsi.

Przed kilku dniami pewien wieśniak 85 lat mający, we wsi Oleszyce obw. przemyskim, sprzykrzywszy sobie byt nieszczęśliwy, wystrzałem z fuzyi odebrał sobie życie. Rzeczą uwagi godną jest, iż ten sam człowiek, nie mając innéj broni, jak tylko kij goździami nabity, zabił w swém życiu 105 wilków. Ponieważ po wystrzale jeszcze żył kilka godzin, dowiedziano się od niego, iż będąc chorowitym starcem nie mógł sobie zarobić na kawałek chleba, i dla tego stracił wszelką ochotę życia. *(Mn.)*

Z Pragi. P. Słoboda, Słowak rodem ze Skalicy, wydaje śpiéw do pieśni *Kollárowych*. — Uczony p. Dankowski, profesor greckiéj literatury w Preszburgu, pracuje nad wielkim *Słownikiem homero-pindarycki m*, w którym w korzeniach słów wskaże pobratymstwo mowy sławiańskiéj z grecką. — Wyszedł w Peszcie obraz p. Kollára na stali ryty, z wielkiém podobieństwem. — P. Kuźmany wydaje filozoficzny romans, pod nazwą: *Słowak.* — Gorliwy kaznodzieja w S. Mikułaszy w Węgrzech, p. Mirosław Hodża, wydawać ma *Czasopismo sławiańskie dla duchowieństwa ewangelickiego.* *(Kwiety.)*

Z Wejmaru donoszą: Dnia 20. października oddane zostały ziemi zwłoki wielkiego artysty Jana Nep. Humla. Prócz najznakomitszych urzędników dworu i państwa, znajdowała się niezliczona liczba mieszkańców tego miasta na obchodzie jego pogrzebu. Zdaje się, iż we wszystkich sercach zostało wyryte uczucie, iż znowu świetna gwiazda zagasła na niebie wejmarskiém. Humel był jednym z ostatnich wielkich mistrzów szkoły klasycznéj, a może jedyny bezpośredni uczeń Mozarta.

Guzików. Josef Guzików, sławny wirtuoz na instrumencie drewniano-słomianym, umarł d. 21. października w Akwisgranie po długich cierpieniach na suchoty płuc. Osłabiony i noszący zaród śmierci w swych piersiach, przyjechał z Belgii, gdzie przez kilka miesięcy już chorował, do Akwisgranu. Podczas swego długiego tam pobytu raz tylko dał się słyszéć publicznie; natężenie to pogorszyło jeszcze bardziéj jego chorobę. Żył lat tylko trzydzieści i dwa. Widać było, że w nim tkwił prawdziwy jeniusz muzykalny, który w walce z niedostatkiem wczesnego ukształcenia zniszczył ciało jego. Żył on jedynie dla muzyki, którą się w wysileniu swojém chwilowo utrzymywał, aby tém bardziej utrudzony padł w ramiona śmierci. Był on ze wszech miar rzadkiém i rozczulającém zjawiskiem.

Orkiestra w Drurylane. Orkiestra teatru Drurylane w Londynie składa się teraz z 96 muzyków, jestto największa liczba, jakiéj kiedy w angielskim teatrze używano. Między tymi 38 jest — Czechów.

Rossyni. Wiadomości z Włoch nie potwierdzają doniesień umieszczonych w wielu gazetach, jakoby Rossyni postanowił komponować operę nową. Artysta ten żyje obecnie u swego starego ojca w Bononii.

Książę Pückler, ile się z jego do pa. Mundt pisanego listu domyślać można, był w swéj podróży przez Etiopiję od lwa napadniętym. Jednak szczęśliwie wydarł się z jego pazurów poświęceniem swych rękopisów, które lew, jakby zajadły recenzent jaki, poszarpał w kawałki.

Duch czasu. W St. Quentin darował p. Foult, Izraelita, tamecznemu kościołowi obraz Chrystusa na krzyżu.

Dowód, że człowiek nie żyje aby jadł. W *Hôtel-Dieu* w Paryżu znajduje się obecnie jedno z nadzwyczajnych zjawisk fizyjologicznych. Jestto pewna kobiéta, która już od dwudziestu miesięcy nie brała żadnego, a nawet płynnego pokarmu. I co najdziwniejsza, iż bynajmniéj nie widać, aby z ciała spadała, tudzież, iż już od sześciu miesięcy karmi piersią dziécię, które jest zupełnie zdrowe, a pokarm w jéj piersiach nie ustaje. Ta kobiéta, mająca 33 do 34 lat, jest rodem z okolicy St. Quentin. Powiada, iż w skutek snu, czyli *wizyi* (wewnętrznego widu), w którém jak zapewnia, zakazano jéj, aby nie brała do siebie żadnego jadła, postanowiła od wszelkiego wstrzymać się pożywienia, i nie miała do tego żadnéj pożądliwości. Rzecz naturalna, iż to zjawisko obudziło w wysokim stopniu zadziwienie wszystkich lekarzy, a ponieważ umiejętność zaprzecza temu, czego wytłumaczyć nie może, więc panowie lekarze myśleli z początku, że w tém oszukaństwo zachodzi. Dla przekonania się zamknęli kobiétę z dzieckiem w osobnym pokoju. Stawiają jéj wszelkie rodzaje pożywienia, wino i wodę, i znajdują codziennie, że wszystko nietknięte, a kobiéta w najlepszém zdrowiu zostaje. Życzyćby należało, ażeby ta kobiéta swój system i teoryję, za pomocą których bez jedzenia obejść się można, dla dobra ludzkości światu odkryć chciała. O jakżeby ta sztuka dla poetów była dogodną! —

Banknoty (z francuzkiego). W dniu, o którym mówię, była na niebie wielka mgła rozpostarta, a słońce tak zachmurzone jak chan tatarski, gdy się ze snu przebudzi. Wiatr gwizdał przez całą noc szczelinami moich okiennic; czułem kilkakrotnie jak nocna mara gniotła me piersi; słowem, obrałem się nie odmieniwszy ani bielizny, ani ogoliwszy méj brody, sąto dwie okoliczności,

które więcéj niż sądzimy utrzymują człowieka w smutnym stanie umysłu. Byłbym przeto raczéj rozbił świat jak ztęchłe jaje, i swój pierwéj język połknął, niż jedno miłe wymówił słowo. Nie wiem jakie mi do głowy przyszły myśli; ale wyszedłem w zamiarze zostać pustelnikiem. Właśnie chciałem dowiedzieć się o drogę wiodącą prosto do klasztoru Trapistów, gdy sobie przypomniałem, że w tę podróż na pieniędzach mi zbywa; wróciłem więc do domu, gdzie się na klucz zamknąwszy, taką z sobą prowadziłem rozmowę: »Czemże jest ludzkie życie? Ślepym tułaczem, którego nadzieja za nos wodzi, który u każdych drzwi przytułku żebrze, i do którego zamiast odpowiedzi, każdy się tyłem odwraca. (To wymówiwszy wzruszyłem ramionami.) Ale miłość, sława, bogactwo, sprawiają mu prawdziwe ukontentowanie?.. Prawdziwe! przeczę temu. Nie masz nic prawdziwszego i pewniejszego jak boleść. Ona jest do tego stopnia niezawodną, iż dla przekonania się o niéj, nie potrzeba nic więcéj, jak tylko zadrasnąć się ostrzem lichéj igły; a gdzież znajdziesz tak łatwy i tak niezaprzeczony dowód na korzyść ukontentowania? Przypatrzywszy się dobrze, i rozważywszy wszystko, świat ten niczém inném nie jest, jak tylko fajką, z któréj los pali. My jesteśmy tytoniem; a to co uczuciami nazywamy, jest zarzewiem; gdy się rozżarzamy, zdaje nam się, że używamy, a my sami siebie trawimy.. Otóż ja sam siebie wypalę!« Należy ww. pp. wiedzieć, iż jestem panem na pół zbutwiałego, bukszpanem i hebanem wykładanego kantorku, w który nigdy nie zaglądałem, wyjąwszy, gdym do niego wkładał rachunki, które albo już wypłaciłem, albo jeszcze wypłacić miałem. Dostałem go w puściźnie po śmierci mojego starego wuja, z którym Harpagon w porównaniu prawdziwym był marnotrawcą. Uderzyłem z całéj siły o wierzch kantorku i chciałem rozbić w celu wynalezienia w nim naboju, bom postanowił nieodzownie puścić samego siebie z dymem. Zabierając się do nabicia długiego pistoletu, jeszcze po Kozakach pozostałego, szukałem w tym kantorku ładunku. Lecz jakież było zdziwienie moje! Drzazga, która storcem stanęła w krawędzi, cokolwiek wystającéj, zwróciła moję uwagę na tajemną szufladkę, w któréj dwanaście banknotów, każdy po tysiąc franków, znalazłem... Mamże wyznać słabość moję? Wysypałem proch w wodę, zagwoździłem pistolet, i otworzywszy drzwi i okna, zawołałem głośno: Niech będzie pochwalone niebo! jakże dzisiaj jest piękne i pogodne, a słońce jakże świeci jasno i przyjemnie! Nie, nie! rozkosz nie jest marzeniem, ale istotną prawdą... Biédni śmiertelni! jakieśmy ułomni; wszystko w naszych oczach przybiera barwę naszego umysłu, jakie w nas uczucia, takim i świat przed nami!

Skutki zazdrości. *Gazette de Tribunaux* zawiera w liście z Rio-Janeiro pod dniem 23. lipca następujące zdarzenie traiczne: Od niejakiego czasu biegała tu pogłoska, że piękna wdowa, margrabina d'Ossara, ma pójść za młodego człowieka, majacego lat dwadzieścia i trzy, niejakiego Alfonso de Zuniga. W poufnéj rozmowie mówiono sobie o tém zamężciu, że ono ze strony margrabiny połączone było z miłością, ale młody mężczyzna ten uważa je tylko za środek do osiągnienia świetnéj posady, do czego mu ma posłużyć majątek margrabiny. Jakkolwiek więc obojętnym był dla niéj, jednakże serce jego było bardzo przystępne tkliwym uczuciom miłości, i jakkolwiek wszelkich używał środków dla ukrycia tych uczuć przed bystrém okiem publiczności, jednakże powszechnie było wiadomo, że niezmiernie jest rozkochanym w Riccardinie Soares, pierwszéj tancérce wielkiego teatru, najśliczniejszéj i najmilszéj dziewczynie, jaka kiedy na scenie się zjawiła. Przed pięcią dniami zapowiedziano, że piękna Riccardina wystąpi jako *Bajadera* na scenę, i że po skończeniu téj roli popisywać się będzie w sławnym tańcu *Cachucha*, który przed samym odjazdem moim, miałem ukontentowanie widzieć w Paryżu. Jak najliczniejsza publiczność cisnęła się tłumnie pod wieczór do teatru, i ja pospieszyłem podobnież dla znalezienia dobrego miejsca, gdziebym spokojnie czynić mógł porównanie między Riccardiną i Fauną, tancerką w Paryżu. Riccardina wystąpiła i tańczyła przedziwnie, w całym teatrze dały się słyszéć najhuczniejsze oklaski, ale jakże publiczność jeszcze bardziéj została wzruszona, gdy artystka ukończywsy taniec *Cachucha*, wystąpiła znowu na scenę i w chwili, gdy miała złożyć publiczności podziękę, wydawszy krzyk przeraźliwy, upadła na znak na ziemię. Większa część publiczności mniemała z początku, że takie nadzwyczajne zakończenie zawarte było w roli, ale gdy okropna boleść nieszczęsnéj zamieniła się w konwulsyje i najdotkliwsze jęki, wtedy powstało w teatrze największe zamieszanie, wyniesiono Riccardinę za kulisy i spuszczono zasłonę. W kilka minut gruchnęła wieść w parterze i wszystkich lożach, że na Riccardinę prysnął ktoś kwasem saletrzanym, który niezmiernie spiékł nieszczęśliwą. Nie można sobie wystawić, jakie oburzenie ogarnęło widzów w teatrze; oburzenie to, nie mające ani celu ani przedmiotu, na którymby mogło wywrzéć swą zemstę, wzmagało się coraz bardziéj do najwyższego stopnia, a gdy nagle wymówiono nazwisko margrabiny, znajdującéj się w pierwszéj loży, natychmiast publiczność zaczęła się cisnąć hurmem w to miejsce, ale już nie zastała nikogo, jednakże na czerwonym aksamicie, którym była obita loża, znaleziono żółte, powypalane plamy, po których się tego ostrego płynu domyślano. Nareszcie nie było żadnéj wątpliwości, że margrabina popełniła tę zbrodnię, a publiczność potłukła w jéj loży zwierciadła, zburzyła meble i podarła osłony. Podczas téj wielkiéj wrzawy podniosła się zasłona, wystąpił dyrektor teatru i potwierdził wiadomość, że się Riccardina istotnie w najsmutniejszym znajduje stanie. W twarz jéj, ramiona i piersi wgryzł się ostry kwas saletrzany, i że, jeżeli nie umrze, przynajmniéj na całe życie bardzo zeszpeconą zostanie. Na te słowa powstał między publicznością zgiełk przeraźliwy i pośród krzyku nie było słychać tylko te straszliwe wyrazy: *Venganza!* tudzież: *A baxo la traidora!* Tymczasem jeden młody mężczyzna wybiegł z pośród tłumu i spiesznym krokiem udał się ku hotelowi margrabiny. Przebiega pierwsze pokoje i okropnie wzruszony staje przed margrabiną, która przelękniona jego zjawieniem, nadaremnie starała się ukryć swą niespokojność. Następuje krótka rozmowa, w któréj Alfonso zemstą uniesiony wymusza spieszno wyznanie zbrodni na zaślepionéj. Zapamiętały, utraciwszy prawie przytomność zmysłów, chwyta poduszkę, leżącą na dywanie, rzuca się z nią na twarz margrabiny, i na śmierć ją udusiwszy, porzuca; margrabina padając na ziemię obala z wielkim stukiem poblizkie meble. Ludzie spieszą ze wszech stron ku pomocy, Alfonso umyka, powstaje zamieszanie, przychodzi straż, wołają pomocy, przybywa lekarz, stara się przywołać do życia margrabinę, ale na próżno, wszelkie usiłowania zostają bezskuteczne. Alfonso został schwytanym, ale mała jest nadzieja, aby Riccardina przy życiu się ostała; ostry kwas wgryzł się w żyły jéj szyi, przezco tak niebezpiecznie nabrzmiały tętna, iż każdéj chwili może paść ofiarą śmierci, jeżli się nie powiedzi operacyja, która podobnież jest niebezpieczną.

Redaktor Jan Nep. Kamiński. *Druk Piotra Pillera, we Lwowie.*